Ner 49. Kraków, 9go Grudnia. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. .a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Zaproszenie do Przedpłaty na Pismo NIEWIASTA za 1862 rok.

Przy zbliżającym się nowym roku, prosimy o łaskawe wczesne przysyłki przedpłaty, czy to na cały 1862 rok, czy to na 3y, 2a, lub 1no jego ćwierć-rocze. Warunki przedpłaty i ceny dotychczasowe tak za *Niewiastę* bez mód paryskich, jak i z temi, nie zmieniają się. Planu pisma równie nie zmienimy, przekonawszy się, że poważny kierunek myśli, Płci Pięknej ani przeciwnym, ani obcym nie jest. O wydoskonalenie jednakże naszego Tygodnika będziemy się starali najusilniej, a w tej chwili już donieść możemy, żeśmy do współpracownictwa znowu znakomite pióra pozyskali. W miarę przybywającej liczby Przedpłacicieli objętość pisma coraz większą będzie, i ktokolwiek zauważył, ile nam oto chodzi, aby każdy numer jak najwięcej mieścił treści, pewnie nam uwierzył, że szczerze mówimy. *Sześć razy do roku dodamy bez względu na liczbę Prenumerujących desenie lub inne wzory dla robót damskich bezpłatnie.*

Redaktor.

O Zbytku.

(Zobacz Nr 45 i 46).

III.

Albowiem domy szlacheckie członkami są Rzeczypospolitej, a gdy te członki utratami, zbytkami niszczeją, tedy ciału. t. j. Rzpltej dobrze być nie może.

O Elekcyi, Wolności, Prawie, i Obyczajach polskich. Łukasza Górnickiego.

Narodom nawet w pełni życia swojego, samodzielnym, niepodległym, wyrabiającym się na rodzimych prawach, mającym byt polityczny, mającym znakomite materyalne siły, zbytek jest zawsze szkodliwy: bo wyssysa z nich żywotne soki, bo zaszczepia w nie demoralizacyę i zniewieściałość, bo odciąga je od pracy, bo rozwiewając rodzinne ogniska, już przeto najpierwszy, najsilniejszy fundament narodu, rodzinę, podkopuje. Jeżeli w narodach niepodległych zbytek szkodliwe przynosi owoce, to w narodzie bez politycznego bytu, bez niepodległości, w narodzie pracą wewnętrzną a mozolną wywalczającego sobie przyszłość, zbytek jest *zbrodnią*. W narodach samoistnych i niepodległych prawodawstwo, czuwające nad społecznym rozwojem, może stósownemi ustawami neutralizować szkodliwe skutki zbytku; lecz naród w zależności będący praw takich sobie stworzyć nie może; powinien więc zastąpić je wewnętrznem, moralnem poczuciem, i wysokim rozumem, stojącym na straży narodowej przyszłości.

Nie wierzymy zdaniom niektórych współczesnych ekonomistów francuskich i angielskich ani wolterowemu *), gdy broniąc zacięcie zbytku, twierdzą iż on jest złem koniecznem, które wydaje dobre owoce. Utrzymują, iż przez zbytek byt dobry rozpływa się na liczne warstwy społeczeństwa, iż zbytkiem kształci się gust dobry, i otwiera się pole zarobkującym korzystnej i uczciwej pracy. Zdania te, zbić łatwo tak zdrową logiką, jako też wyższym ekonomicznym poglądem, mają jednakże istotnie w sobie pozorną prawdę, o której warto rzec cokolwiek; o to zbytek podnosi rzeczywiście produkcyę, chociaż się to sztucznie dzieje, podnosi rękodzieła i sztuki piękne, i tym sposobem daje sposób do życia licznemu zastępowi pracujących. Lecz narody, mające przemysł rozwinięty wysoko, zarobek dają krajowcom, zaczem pieniądze zostają w kraju, mnożąc w nim dostatek. Ależ jak odmienne położenie nasze? zastanówmy się tylko, czy u nas jakąkolwiek korzyść zbytek przynieść może? U nas przemysł na bardzo niskim stopniu, fabryk nie ma prawie żadnych, wszystkie przeto przedmioty zbytku, mniej więcej, sprowadzać musimy z zagranicy, bo kraj nie dostarcza nam ich; więc pieniądze nasze idą obcym na korzyść, podnoszą obce fabryki, wzbogacają obcych. I z tego więc względu zbytek, ubożąc nas, jest nieskończenie szkodliwym, bo jeżeli we Francyi, Anglii, ze zbytku klas zamożnych korzystają klasy uboższe, to u nas któż z niego korzysta? Pieniądze nasze, miasto wspierać uboższą pracującą klasę, idą za granice do obcych kieszeni. Zbytkiem ubożymy coraz bardziej kraj już i tak pogrążony w nędzy.

Niepisząc ekonomicznego traktatu o zbytku; lecz tylko potoczne praktyczne uwagi, nie myślimy się w jeremiadach rozwodzić nad brakiem przemysłu i fabryk u nas. Lecz zdaje się, iż niemogąc złego usunąć zupełnie, starać nam się wypada przynajmniej o uczynienie go jak

*) Wolter „Apologie du Luxe“.

najmniej szkodliwem. I tak np. materye i stroje niewieście u nas, w kraju nieprodukowane, muszą być sprowadzane z za granicy, kiedy inaczej być nie może niechże stroje będą jak najskromniejsze, jak najmniej kosztowne. Niechaj zalecają się gustem ale nie wygórowaną ceną. Niechaj ubiory przynajmniej robią się w kraju, nie zaś w zagranicznych warstatach; niech kwiaty, zdobiące skronie dziewic, rosną na grzędach naszej ziemi, a nie w rękach modniarek paryskich. Wkorzenił się u nas również zwyczaj zbytkownych i kosztownych wypraw, niezastósowanych częstokroć ani do majątku, ani do przyszłego stanowiska młodej pary. Wyprawy te pochłaniają wielkie sumy, rodzice sadzą się na nie najczęściej dla własnej próżności tylko. Jest to piękny i praktyczny zwyczaj uposażenia młodej narzeczonej, wychodzącej z domu rodzinnego, uposażenia jej w pierwsze niezbędne potrzeby. Dobrze, niechajże więc wyprawa zgadza się z przeznaczeniem młodej pary, niechaj będzie dowodem pieczołowitości i miłości rodzicielskiej, a niechaj nie będzie źródłem zbytków i nieszczęść. Zdarza się często, iż wyprawa przepełniona jest niepotrzebnemi a kosztownemi drobiazgami, które—nie przydatne na nic, grosz zmarnotrawiły. Rodzina wyjeżdża częstokroć po wyprawę za granicę, nakupują bez rachuby i potrzeby drogich materyj, sukień, strojów, których młoda mężatka zwykle zużyć nie może, zaś za zmianą formy, mody wszystko na nic schodzi. Pocóż strojów bez miary?.... czyż kilka sukień niewystarczy?... Czyż młodą dziewicę, rozpoczynającą nowy dla siebie zawód, do którego gotować się winna z całem głębokiem moralnem poczuciem, z całą wnętrzną refleksyą, myślą, rodzice sami odciągać mają od obowiązku, zaprawiając ją do strojów, do zbytku, do próżności, jak gdyby to było dowodem ich miłości?.... zaprawdę rzeczy inaczej się mają. Wyprawa kosztowna, zbytkowna, w chwili wystąpienia samodzielnego dziewicy w świat, w świętem posłannictwie żony i matki, zaszczepia w niej zamiłowanie strojów, i w nową rodzinę wpaja próżność, źródło tylu nieporozumień i nieszczęść na później. Stroje nęcą, aby się ubrać, aby być widzianą i podziwianą, ciągną w świat gwaru, zabaw, a to kosztem domowego szczęścia, kosztem chwil jedynych w życiu, których nikt nie jest w stanie obliczyć.

Złe, choćby w najdrobniejszych szczegółach życia, powinniśmy tropić i wytępiać dla uniknienia skutków. Wyprawy bywają częstokroć zgubne, dla tego podnosimy je pod światłą rozwagę niewiast, tusząc iż zechcą się nad niemi zastanowić. Niech wyprawa będzie najprzód zastósowana do majątkowego stanowiska rodziców i męża, niech będzie raczej obfitą w przedmioty trwałej i rzeczywistej wartości, w przedmioty długiego użytku, niż w przedmioty zbytku lub przepychu. Wyprawa, rozsądnie urządzona, będzie pomocną młodemu małżeństwu polskiemu, o wspomożenie zagranicznych fabrykantów i kupców najmniej nam chodzić może i powinno. W. B. K.

MARYA KAZIMIERA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Z sześciu pretendentów do korony dwóch tylko mogło mieć jakąś nadzieję. Książę Karol Lotaryński, którego jeszcze za życia Michała, za radą Leopolda, miano osadzić na tronie, i książę Nejburski popierany od strony francuskiej, i w tem w opozycyi dążnościom rakuskiego dworu stojącej. Sobieski tak tym, jak i przeszłym razem przedstawia Kondeusza. Przedstawienie to jego wprawiło w podejrzliwość wielu, jakoby „potajemnem dawaniem pieniędzy jednał przyjaciół książęciu de Condé“, i jakoby sam z tego chciał zysków. Eleonora wyrobiła zaś intrygami swemi, do których jej Pacowie pomagali, ustawę, iż „krajowiec królem być nie może“. Dla tego też na występującego za Kondeuszem Sobieskiego nie powinien był wcale padać pozór osobistych dążności. Samo to bowiem, że był krajowcem, stawało do tego przeszkodą, i prócz tego i to, że naród, żony jego nie lubiący, wolał widzieć na tronie Eleonorę, niż Maryą Kazimierę. „Ta wysokość, mówili, przystoi nierównie lepiej krwi austryackiej.“ Najróżnorodniejsze zdania nie mogły dójść do zgody. Śmierć prymasa, która nastąpiła na balu, danym przez Sobieskiego w Wilanowie, rzuciła niesprawiedliwe podejrzenie na hetmana o otrucie. Lekarskie jednak świadectwo obaliło tę potwarz pochodzącą ztąd, iż Czartoryski był przeciwny zdaniom Sobieskiego. Andrzej Trzebicki, biskup krakowski zastąpił prymasa; nie mógł jednak i on sprzecznych zdań pojednać. Wystąpienie Stanisława Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, faworyta Maryi Kazimiery, rozstrzygło dopiero stanowczo te spory, i największym zasługom Sobieskiego oddało cześć. Kiedy więc Marya Kazimiera, w największej niepewności i obawie, przechadza się po ogrodzie do pałacu Kazimierzowskiego należącym, kiedy na jej czole to blask dyademu, to chmura rozpaczy osiada naprzemian, wtedy na sejmie Stanisław Jabłonowski temi słowy do zgromadzonych przemawia: „Jest „między nami człowiek, który kilkakrotnie już ojczyznę „z najokropniejszej toni wybawił. Wśród ciężkich burz, „które nad nami wiszą, niech on nami rządzi, niech „ten nas wybawi, który dotąd zbawił! Jeśli tu spokoj„nie króla obieramy, jeśli jeszcze mamy ojczyznę, jemu „ją winniśmy. Pomnijmy na świetne dni Podhajec, Ka„łusza i Chocima, i obierzmy za króla *Jana Sobieskiego!*“

Wielkie wrażenie zrobiły na słuchających te słowa. Najpierwszym zaś ich skutkiem było przyjęcie się ich w sercach większej liczby zgromadzonych, którzy też głośnym okrzykiem odpowiedzieli na nie: *Niech żyje Jan Sobieski! Niech żyje Król Jan!* Pacowie i Litwa i tu znowu sprzeciwiać się musieli, lecz znaczną większością pobici, oraz namową nakłonieni ustąpili nareszcie, i Jan Sobieski został okrzyknięty królem.

Marya Kazimiera, znajdująca się pod ten czas na przechadzce w ogrodzie z biskupem Forbinem, przyjęła tę wiadomość na pozór bardzo obojętnie. Obojętność ta pochodziła już z poczucia w tejże chwili swej królewskiej godności, nakazującej jej stósowną utrzymać powagę. W duchu zaś nieposiadała się ze szczęścia. Przeznaczenie dopisało. Intrygi uwieńczone koroną. „Teraz czas, pomyśliła sobie, właściwą odegrać rolę, cała przeszłość moja była tylko nużącem mię do tego przygotowaniem.“

Było jednakże jeszcze jedno, choć małe, i nie wielkim strachem przejmujące ją niebezpieczeństwo. To niebezpieczeństwo mogło jednakże i nie dozwolić jej jeszcze teraz być królową. Partya austryacka i Eleonora nie od razu ustąpili z pola. Dla niej było to okropną boleścią: zdjętą z głowy koronę oddać w ręce Maryi Kazimiery. Intrygują więc i namawiają króla, aby się wyrzekł swej żony, a z królową Eleonorą połączył. Marya Kazimiera znała Sobieskiego dobrze, i wiedziała wprawdzie że tego nie zrobi, jednak chwila stanowcza była dla niej pewną obawą. Ale i ta obawa wnet minęła. Król Jan na to przedstawienie intrygantom odpowiedział: „Prędzej korony i berła, niźli się żony mej zrzekę!“ Marya Kazimiera była więc już pewną siebie; a odtąd wolno się jej nawet już było zwać i pisać: królową polską.

X.

Niezmierną radością przepełniła serca wszystkich wiadomość o obiorze Sobieskiego na króla. Naród, znający jego męztwo i czyny bohaterskie, a widzący się w strasznem od grożących Turków niebezpieczeństwie, nie mógł się innym bardziej radować królem, jak tym, który zdawał się stworzonym na to, aby mahometański oręż połamać. Zewsząd dziękczynne pienia wznosiły się do Boga: „Chwalcie Pana wszystkie narody! wołano „z głębi serca, śpiewaj mu i dziękuj z radością sło„wiańskiego Lecha pokolenie. Niech się po równinach „polskich tubalne echo rozchodzi, a odgłos wesołego „*vivat!* niechaj niebiosa przebija. Żyje Bóg Stwórca „nasz, króle podający; niech i król długowiecznie żyje „od Boga podany“ [1]). Cieszył się naród, że z pomiędzy siebie obrał najlepszego i najdzielniejszego na króla, którego „niemarna kolebka na tronie posadziła; ale wola Boga zastępów“, wola narodu, przez głosy rycerstwa oznajmiona. „Radujcie się, woła poeta, mężowie polscy, „że ze krwi waszej otrzymaliście pana, którzy obiera„jąc cudzoziemców, dotądeście sami siebie niegodnymi „berła sądzili“ [2]).

Nietylko Polska ale i Francya, a mianowicie Ludwik XIV cieszył się także elekcyą Jana IIIgo. Wszelka przewaga Polski, nad wpływową na nię Austryą, zawsze go radością przejmowała. Obiór Sobieskiego był zaś wielkim takiej przewagi dowodem. Zapewniał on, prócz tego Ludwikowi XIV skuteczność i pewność jego wpływów na Polskę, skoro jej królową będzie wierna mu zawsze Marya Kazimiera. Niektórzy posądzali nawet Ludwika XIVgo, że jego staraniom winien był Sobieski wyniesienie swoje, a *Gazette de France* wynosiła zręczność polityki króla Francyi, już nie posądzając tylko, ale chwaląc go za wpływy, mocą których Sobieskiego królem obrano.

W kościele śgo Jana, jako katedralnym w Warszawie, w wigilią śtej Trójcy, odbyła się świetna i okazała uroczystość wręczenia królowi dyplomu królewskiego. Uroczystości tej towarzyszące ceremonie odbywały się z udziałem największym wszystkich obecnych w Warszawie cudzoziemców. Zwyczajem takiego obrządku, wojewoda Gniński miał przemowę do króla. Tej przemowy przesada i napuszystość dobrem jest świadectwem zepsucia smaku w owym wieku. „Jak niegdyś Jan, „rzekł mowca, przygotowywał do głosu Messyasza, tak „Rzeczpospolita dając dyploma Janowi Sobieskiemu, „gotowym czyni do głosu pana swego, którego imie „Jan. Jak Marya Panna poświęciła w żywocie matki „jego, tak królowa Ludwika Marya, żona Kazimierza, „ubłogosławiła króla Jana, żeniąc go z Maryą d'Arquien „*z oceanem przymiotów anielskich.* Zwiodła się Rzeczpo„spolita w przeszłem obraniu Michała, poprawia błąd „swój Janem; Jan jest słowo łaski, który przywróci „karność żołnierzowi i szczęście Polsce.“ Przesada mowcy, w dalszym ciągu jego mowy nie wiele nawet odległą jest od bluźnierstwa kościołowi i religii. Pełno w niej niesmacznych wykrzykników, niestósownych porównań i nieszczerej egzaltacyi, uszanowania i czołobitności. Niemniej śmieszną była genealogia króla i królowej. Według tej Sobieski pochodził od Leszka IIIgo z wieku IXgo. Ten Leszek miał syna Sobiesława, a z Sobiesława powstało nazwisko Sobieski. Marya Kazimiera zaś pochodziła od Hugona Kapeta,—a na jej urody określenie ani słońce, ani księżyc, ani miryady gwiazd nie wystarczyły. Szczęśliwą też była z tego wszystkiego Marysieńka, ten *ocean przymiotów anielskich,* widząc się wyniesioną tak wysoko, i przewidując wielkie zadanie wpływów swoich i intryg, które ją, jako następczynię ś. p. Maryi Ludwiki czekało.

Po uroczystości wręczenia dyplomu winna była nastąpić koronacya. Gdy jednak, korzystający z bezkrólewia i elekcyi Turcy, nową inwazyą na Podole i Ruś przedsięwzięli, i wiele zamków i miast pozabierali, Sobieski król, nie przestając nigdy działać w duchu powołania swego, i zwycięztw swych dotychczasowych nie licząc za koniec swej roli mściciela, pierwej o ujarzmieniu Turków, oswobodzeniu Podola i wypędzeniu nieprzyjaciół z kraju przemyśliwał, aniżeli o koronacyi. To też na przedstawienie przyjaciół, a mianowicie żony, aby się z koronacyą nie ociągał, odpowiedział:

„*Żołnierz Sobieski* walecznem zwycięztwem
„Zasłużył sobie na króla nazwisko;
„*Król* — niech dowiedzie jeszcze większem męztwem
„Godność korony... której jest tak blisko.
„Tam półksiężyców błyszczą ognie wraże,
„Tu dyademu blask ku sobie nęci;
„Słaby, kto walkę dla blasku poświęci,
„Naród nim wzgardzi a Bóg go ukarze“ [1]).

Nie w smak była ta odpowiedź i to postanowienie króla Maryi Kazimierze. Po ogłoszeniu jej męża królem, jej pierwszą myślą była: *koronacya.*

Póki korony nie czuła na skroni,
Póty obawa, co się w serce wkradła,
Tysiąc podejrzeń stwarzała koło niej...
A ona, ona, co męża owładła,
Słodkiemi pieszczot szeptała mu słowy:
„Królu! Tyś jeszcze twej nie pewien głowy!

„Król bez korony to lalka — nie władza;
„Lud, co go obrał strącić go jest gotów;
„Wierz mi: lud królów bez korony zdradza,
„Bo w nich nie widzi królewskich przymiotów.
„Tobie nie walczyć w twych poddanych gronie,
„Lecz rozkazywać i rządzić w koronie.“ [2])

Sobieski słów jej atoli nie słuchał. Chodzić mu nawet mogło o koronacyę, bo obrany król dopiero od koronacyi liczył swoje panowanie, mógł zawierać ugody i traktaty; wypowiadać wojnę; zwoływać sejmy, zwiększać liczbę wojska lecz on nad to wszystko za ważniejszą rzecz osądził obronę granic od Turków i pospieszył też przeciwko nim na Ruś.

Miała dla czego Marya Kazimiera tak chciwie wyglądać korony na skroń swoją. Pragnęła jej dla dumy i dla korzyści. Gdyby bowiem niekoronowana została wdową po królu, Rzeczpospolita nie byłaby wcale obowiązaną płacić jej rocznej pensyi, którą zwykle płaciła koronowanym królowom po śmierci mężów w ilości 20,000 czerwonych złotych, upewniając im tę sumę na żupach solnych wielickich i *starostwach spiskiem i grodeckiem* [3]). Przyspieszenie więc tak ważnej dla niej koronacyi było jej wielkiem zadaniem, a tem gorliwiej je przeprowadzić chciała, im dotkliwszą jej była wdowa po Michale, Eleonora, której Rzeczpospolita należącą się jej pensyą wypłacać musiała. Nie chciał też dla tego senat i naród brać na siebie ciężaru, obowiązków i wzglę-

[1]) Wespazyan Kochowski. Psalmodya.
[2]) Słowa te stósują się do elekcyi 1672 dokonanej; sądziłem jednak raczej je tutaj zastósować.

[1]) Z niewydanego poematu: „Król Jan“
[2]) Tamże.
[3]) Lengnich. Wydanie Z. A. Helcla w przekładzie.

dem Maryi Kazimiery, bo utrzymanie dwóch królowych zdawało się mu za trudne dla tak wycieńczonego skarbu, jakim był polski, tysiące potrzeb wojennych opłacać zmuszony. Zazdrość Maryi Kazimiery do Eleonory była dla tego wielka: i zazdrość ta nie wygasła wprzód z serca namiętnego Maryi Kazimiery, dopóki, zniechęcona do Polaków, i nigdy ich nie kochająca, Eleonora nie wydaliła się z Polski, udając się na Szląsk. Ślub jej z księciem Karolem Lotaryńskim, którego już kochała nie będąc jeszcze żoną króla Michała, uspokoił dopiero nienawistną jej królowę polską, która nie mogła znosić obok siebie nikogo, coby jej godność lub widoki osłabiał.

Nie słuchający rad i wymownych przekonań swej żony, Jan III zabrał się serdecznie do wyprawy na Turków. Panowanie swoje rozpoczął on bardzo szlachetnie. Nieprzyjaciołom swoim dał piękny dowód szlachetności i wzniosłości charakteru. Wielkim marszałkiem koronnym zrobił Lubomirskiego, syna Jerzego. Wywdzięczył się tem zapewne po chrześciańsku; a sumienie swoje uspokoił, któreby mu mogło jeszcze wyrzucać krzywdę, wyrządzoną Lubomirskiemu przyjęciem po nim godności niesprawiedliwie wydartych. Przebaczenie uraz doznanych od ś. p. Jerzego, i niepamięć walk z nim toczonych, jest zaiste pięknym i wymownym czynem szlachetnych uczuć Jana IIIgo. Następnie zaraz z początku swego panowania, miast spocząć na brylantowych laurach, spieszy Sobieski na bitwę. I ten czyn przemawia za nim korzystnie. Łatwo było wysłać na granice polskie hetmanów, a samemu bawić się w Warszawie... Lecz Sobieski nie mógł tego zrobić. On najprzód w swojej krwi, a następnie w swem stanowisku, jako król Polski, czuł dobrze powołanie swoje, powołanie swego narodu. Polska przez dzielnych swych reprezentantów dowiodła posłannictwa swego, walki za krzyż, pomsty za krzywdy jemu zadane... Sobieski, jeden z najgłówniejszych idei tej przedstawicieli, dopomagał ojczyznie swej do spełnienia tej misyi. Dopomógł jej bardzo zwycięztwami pod Podhajcami, Kałuszem i Chocimem, a zostawszy królem czuł, że posłannictwo Polski jeszcze nie spełnione. Życiem swem całem dowiódł tego uczucia, a że ono prawdziwem było, że nawet ani w r. 1683 posłannictwo Polski jeszcze się nie spełniło... widzimy to sami i dziś, gdyż najświeższa walka o krzyż z nieprzyjaciółmi kościoła Chrystusowego jest dalszym ciągiem spełnienia się misyi narodowej naszej... dla niego klęska cecorska była niezgłuszonem hasłem do pomsty.

Wyprawa roku 1674 nie wielkim zostala uwieńczona skutkiem. Udało się wprawdzie Sobieskiemu pozabierać zamki i miasta, wydarte przez Turków, jak Bar, Niemirów, udało się odeprzeć odsieczą swoją nieprzyjaciela z Trembowli, i nareszcie pokonać Nuradyna pode Lwowem: niesforność jednakże żołnierza, a mianowicie bezprzykładna hardość hetmana Paca, który go znów opuścił na placu boju, zostawiła w rękach tureckich prawie wszystkie ważniejsze punkta na Ukrainie i Podolu, a szczególniej też ów tak ważny Kamieniec podolski, Kara Mustafa występował już w tej wyprawie. Odegnany z pod Trembowli, cofnął się jednakże pod Kamieniec. Ponieważ zaś w obronie Trembowli historya bardzo zaszczytnie wspomina imie szlachetnej Polki-Niewiasty, Chrzanowskiej, spomniemy tu o tej obronie słów kilka, choć ona stoi daleko od naszego przedmiotu głównego.

Zmuszony do ustąpienia przed orężem Jana III, z Podola Kara Mustafa, w. wezyr Machometa IV, postanowił sobie na odchodnem zdobyć przynajmniej jednę forteczkę polską. Nastręczyła się temu postanowieniu odpowiednia Trembowla. Jestto miasto w Galicyi, w obwodzie tarnopolskim, o cztery mile na południe od Tarnopola. Na skalistej górze, w pobliżu tego miasta, wznosił się warowny zameczek, załogą wojska polskiego obronny. Dowódzcą załogi był Samuel Chrzanowski, w rycerskim zawodzie biegły i znany. Kara Mustafa zamierza zdobyć Trembowlę. Obawiając się zaś Jana IIIgo, zamiar swój chce uskutecznić przed nocą. Spiesznie więc przystępuje do dzieła. Sława Chrzanowskiego niepokoiła go wielce. Pisze do niego list z refleksyami i obietnicami. Na to w odpisie otrzymuje te słowa: „Zwodzisz „się, jeśli złota tu znaleść się spodziewasz; prócz żela„za i żołnierza w małej liczbie nic więcej nie ma; ale „męztwo nasze jest wielkie; nie spodziewaj się podda„nia się naszego, wtedy nas weźmiesz, jak ostatni z nas „zginie; inny gotuję ci odpis, który z armatnich wy„strzałów usłyszysz.“

Niesłychaną rzeczą była dla Kary Mustafy taka śmiałość i krnąbrność obleżonego. Z całą wściekłością obrażonej dumy rozkazuje uderzyć do szturmu. Sam, mszcząc się zadanej jego osobie i godności krzywdy, wskakuje na wały, niezważając na największe życia niebezpieczeństwo. Obleżeńcy bronili się mężnie. Żona dowódzcy załogi, Zofia Chrzanowska „równie piękna jak Judyt“: z męztwem, jakiegoby jej niejeden mąż mógł pozazdrościć, stawała w szeregach walczących, i z narażeniem własnego życia odpierała wdzierających się Turków. Bohaterka ta utrzymała nawet sławę dobrego imienia Polaków. Szlachta, która była schroniła się przed Turkami do Trembowli, widząc okropną zaciętość walki i pewną śmierć prawie dla siebie, traci odwagę, i — nie chcąc dłużej wytrzymywać i odpierać ciosów nieprzyjaciela, wypowiada wodzowi posłuszeństwo, namawia go do poddania twierdzy. Chrzanowski, choć sam odważny i choć gotów był życie swe bohatersko poświęcić, zachwiał się tem przedstawieniem szlachty, i z kilkoma oficerami załogi nad dalszym losem Trembowli się naradzał. Wśród narady ich wpada do pokoju męża Zofia Chrzanowska. Dowiedziała się ona bowiem o nędznych zamiarach szlachty. Wpada, stawa z najwspanialszą godnością Bohaterki-Polki przed mężem, i — błyskając mu przed oczy dwoma sztyletami — rzecze: „Oto jeden ciebie czeka jeżeli się poddasz, a drugi jest dla mnie“. Do rady zaś zwracając się, dodała: „Wstyd i hańba! panowie, aby wam słaba kobieta do„dawała odwagi i męztwa! Co król, co Rzeczpospolita, „co bracia nasi powiedzieliby na to, gdyby się dowie„dzieli, że bojaźń śmierci w imieniu ojczyzny przestra„szyła was tak okropnie, iżeście się z najnikczemniej„szym jej wrogiem sprzymierzyli. Precz te myśli hanie„bne odrzućcie, a — na kolana padłszy, prośmy oto wszys„cy Boga, aby nam pomocy swej nie odmówił!“ Słowa te zrobiły wielkie wrażenie na słuchających. Samuel Chrzanowski pierwszy, a za nim wszyscy oficerowie uklękli do modlitwy, która upadłe ich męztwo podniosła, i która wysłuchaną została. Wkrótce nadciągnął ode Lwowa Jan III, a przestraszony jego przybyciem Kara Mustafa od oblężenia odstąpił. Działo się to r. 1675.

Mimo to jednakże, powtarzam, wyprawa ta cała żadnych Polsce nieprzyniosła korzyści. Kosztowała ona Sobieskiego wiele trudów i pieniędzy, wiele niespokojności o Marysieńkę, ale nagrody w niczem nie przyniosła.

Listy Sobieskiego z tej epoki pisywane do żony, okazują i stwierdzają jak najwyraźniej to, cośmy wyżej o zmianie usposobienia Maryi Kazimiery spomnieli. Listy z roku 1676 pełne są zadowolenia i radości, to z szybkiej na zapytanie odpowiedzi, to z serdecznego jakiego przymilenia, to nareszcie z dość częstych prezentów „które sobie Jan III więcej ważył, niżeli wszystkie skarby na świecie.“ Wszystko to jednak pochodziło

z interesu i troskliwości, nie udawanej wcale; lecz najprawdziwszej o zdrowie i życie Jana, którego Marysieńce potrzeba było. Było to bowiem jeszcze przed koronacyą... Podczas utarczek Jana III pode Lwowem, bawiła Marya Kazimiera lub w Jaworowie, lub w Żółkwi. („Zimę w Ukrainie i Wołyniu na odbieraniu i osadzaniu fortec utraciwszy, i w zimowem leżu pod Bracławiem czas niejaki zabawiwszy, wyjechał król 15 kwietnia z Bracławia i 25 stanął w Złoczowie, dokąd i królowa z margrabią Bethune drogę mu zajechała. Dnia 6go maja wyjechał do Joworowa, gdzie z królową jeszcze przez miesiąc czerwiec bawił“ [1]).

Z troskliwości Maryi Kazimiery o Jana III pochodziło i to, że nawet do obozu jego jechać ku niemu chciała. Gdy mu więc tę swoją chęć serdeczną objawiła, odpisuje jej Sobieski z pode Lwowa 11go sierpnia, pisząc list po „zachodzie słońca“: „Abyś tu zaś Wć m. P. „(moja panno) przyjechać miała, — ah, moja jedyna „Marysieńku, czyżby mię też mogło na tym świecie „większe potkać szczęście. Łożyłbym na to *la meilleure* „*partie de mois même*. Ale mój Paneńku jedyny, jeszcze się nad nami Pan Bóg nie zmiłował; bo teraz jest „większe niebezpieczeństwo, kiedy nieprzyjaciel o 12 „mil tylko, niż kiedy był o 16“ i t. d. Szczerze o los swej Marysieńki troskliwy Sobieski nie pozwolił jej narazić się na niebezpieczeństwo, choćby obecność żony była mu największem w świecie szczęściem. Wolał więc, jak sam powiada, męczarnie Tantala przecierpieć i nie mieć swej Marysieńki przy sobie, aniżeli obawiać się ciągle, aby się jej jaki wypadek nie zdarzył.

Przecierpiawszy więc nareszcie jeszcze czas niejaki, powrócił do Żółkwi, gdzie się już z nią nabawił i nacieszył. Spoczynek Jana IIIgo w Żółkwi trwał nie długo. Warszawa oczekiwała jego przybycia niecierpliwie, Marysieńka jeszcze niecierpliwiej podmawiała go do koronacyi.

XI.

Nadeszła nareszcie ta tak pożądana dla Maryi Kazimiery chwila. Jan III, od całej Europy czczony i szanowany, od zaeuropejskich nawet mocarstw odbierający zaprosiny do przyjaźni [2]), uznanym był przez senat za najgodniejszego ofiarowanej mu korony, i przedstawiono mu nareszcie, podczas bytności jego w Żółkwi, iżby już czas był, aby koronę przywdział na skroń swoją. Chodziło tu tylko o formę. W uznaniu bowiem zasług Sobieskiego, wyjątkowo tylko jemu z elektów, pozwolono liczyć panowanie od dnia wręczenia dyplomu elekcyi. Wzywamy więc tak usilnie, i od Marysieńki niepokojony ustawicznie, udaje się Jan III do Krakowa, miasta koronacyj i pogrzebów królewskich, dnia 30go stycznia 1676. Dzień koronacyi wyznaczony na 2go lutego. Zazwyczaj w Polsce koronacyę nowego króla poprzedza uroczystość pogrzebowa jego poprzednika.

Przed koronacyą Jana III dwa się odbyły pogrzeby. Jan Kazimierz, bawiący we Francyi w opactwie St. Germain, umarł 1672; zwłoki zaś jego dopiero teraz przywieziono do Krakowa. Jego więc pogrzeb odbył się wraz z pogrzebem Michała Korybuta.

Świetność i okazałość, z jaką się obchód koronacyi odbywa w Polsce, przewyższa okazałość wielu innych dworów europejskich. X. Coyer powiada, iż „którzy wielkie lubią widowiska, a nie zastanawiają się nad tem, jak to wiele kosztuje poddanych, zakochaliby się w niniejszym akcie. Napatrzyć się tu wspaniałości azyatyckiej, gustem przymilonej europejskim. Wschodniego narodu ludzie, murzyni, w ubiorze koloru niebieskiego; młodzież szlachetna polska w sukni purpurowej; wojsko ze wszech miar okazałe; pojazdy, ludzie, konie od bogactw, a złoto ćmiło się przy klejnotach. W pośród tak wspaniałej assystencyi siedział Jan na koniu perskim, jadąc do korony cnotami pozyskanej.“

Marya Kazimiera do ostatniej chwili nie była pewną korony. Wszyscy byli jej niechętni, oprócz silniejszej teraz jeszcze partyi francuskiej. To też, gdy już w kościele katedralnym po lewej stronie męża uklękła, i gdy prymas, dwie trzymając korony, zbliżał się do odebrania od nich przysięgi, powstał jeszcze w całym kościele szmer niezadowolenia, który jednak przez ludzi królewskich, rozstawionych w kościele, uspokojonym został. Przewidywano bowiem, że się tak stanie, i na ten cel zawarowano się przyjaciółmi. Można sobie wyobrazić, co się wtenczas działo w pysznem sercu Maryi Kazimiery. Widząc już ponad sobą przygotowaną dla siebie koronę, zmuszoną jest jeszcze się obawiać, aby ta korona nie odbiegła od niej! Lecz przeszła chwila trwogi, i gdy się zgromadzeni uciszyli, obrządek odbył się zwykłym porządkiem i uroczystością. Król, w stroju królewskim, położywszy chleb i wino na ołtarzu, odebrał z rąk prymasa ewangielią, na której położywszy palce, przysięgę wykonał w słowa: „Podług obowiązku prawa pospolitego królować będę, w obronie wiary katolickiej rzymskiej, w staraniu o sprawiedliwość, w szczerem utrzymaniu swobód wszystkich“ [1]).

Potem prymas namaścił go olejem świętym, włożył na skronie koronę królowi i królowej. Tak usiedli oboje na majestacie królewskim, i podczas całej ceremonii siedzieli. „Nastąpiła aklamacya wesoła pospólstwa, w dzwony uderzono, potem z armat bito na tryumf.“ Z kościoła wyszedłszy sprawiali wedle zwyczau suty bankiet, na który posłów zagranicznych zaproszono. Ministrowie i senatorowie z obowiązku swych funkcyj na takiej uczcie być powinni. Podczas wjazdu uroczystego do miasta, używano zwykle następującyeh królewskich oznak: korony, złotego jabłka, berła także złotego, chorągwi, herbu królestwa polskiego, i gołego miecza. Te *insygnia* nosili dygnitarze koronni przed królem. Uroczystość koronacyi kończy się szczególnym obchodem. Zbrodnią Bolesława Śmiałego, dokonaną na świętym Stanisławie Szczepanowskim, biskupie krakowskim, zostali niejako splamieni wszyscy jego następcy, i dla tego odtąd biskupi krakowscy „każą królom stawać na miejscu krwi przelania.“ W miejsce to udał się także Jan III piechotą [2]) i wyrzekł, jak jego poprzednicy, „że to było wielkim występkiem, ale on nie był temu winien, że się brzydząc tem wszystkim, żebrze odpuszczenia i opieki ś. męczennika, dla siebie i dla kraju.“ Następnie odbierał Jan III przysięgę od obywateli krakowskich, siedząc „na wysoko wystawionym teatrze, drogiemi wschodnich robót pokrytym kobiercami.“ Wtedy też rozdawał król godności szlacheckie, a między tłumy zgromadzonych rozrzucano medale bite na pamiątkę koronacyi. Uczta królewska, wesołe gry i zabawy zakończały nareszcie tę uroczystość, po której król zaraz do zajęcia się sprawami publicznemi przystępował. Sejm koronacyjny był rozpoczęciem jego czynności. Jan III równie szlachetnie, jak i rozumnie działał na nim. Marya Kazimiera, stanąwszy nareszcie u szczytu

[1]) Z. A. Helcel

[2]) Persya przysłała do Jana III posła z prośbą o przyjaźń.

[1]) Klimaktery, Wespazyana Kochowskiego. Wydanie Edwarda Raczyńskiego.

[2]) Miejscem dokonania zbrodni Bolesława Śmiałego był kościół w Krakowie, na Skałce, nad Wisłą. Na miejscu tem wznosi się dziś kościół z klasztorem XX. Paulinów, a w bocznej lewej ścianie jego wmórowane kamienie z śladami krwi świętego Stanisława, oprawione są w złote, oszklone rama.

pragnień swoich, zabrała się także ze swojej strony *con amore* do czynności. Energią, z jaką swe zamiary przyprowadzała do skutku, przewyższała ona o wiele męża, który miłością dla niej zaślepiony często wydaje się w czynach swych słabym, a to li tylko dla tego, że słuchać musiał najdroższej i najukochańszej Marysieńki. Mając już spory poczet zauszników, i przez wdzięczność ku Francyi, sprowadzając z niej coraz więcej do Polski swych protegowanych, pamiętała o wszystkich, zostawszy królewą, i albo im sama godnościami ich wierność nagradzała, albo też intrygami zmuszała króla i senat do przewyższania ich nad innych, często zasłużeńszych krajowców. Gabinet królowej był wielkim kramem przekupnym, w którym wszystkiego za złoto dostać było można, prócz nagrody za szczerą cnotę i szlachetność. Czynności w gabinecie rozpoczęła Marya Kazimiera zaraz po koronacyi. Do czynów Maryi Kazimiery-królowej, przygotowała materyały Marya Kazimiera-hetmanowa. Pierwsze najłaskawsze względy padły na Jabłonowskiego, ulubieńca jej, i skutecznego pomocnika w stósunku jej miłosnym z Sobieskim. Chodziło o to, czy hetman koronny ma być i nadal, jak dotąd, dożywotnim czy nie. Szlachta, która w oznace swej przychylności do króla, jeszcze na koronacyjnym sejmie, przedstawiała połączenie władz: hetmana wielkiego i polnego w jednej osobie, chcąc później przyczynić się do wzmocnienia powagi króla, a osłabienia hetmana, wniosła, aby odtąd hetman wielki koronny był tylko na trzy lata wybieranym. Wniosek ten, już dla tego samego zły, że dawny obyczaj obalał, przypadł jakoś do smaku królowi, i byłby się niezawodnie utrzymał, gdyby nie Marya Kazimiera. Hetmanem polnym był wtedy Jabłonowski; starania królowej do tego zmierzały, aby wkrótce został i wielkim. Pragnąc przeto, aby tak wierny jej sługa, jakim był Jabłonowski, do śmierci swej piastował tę godność, z której wiele dla niej było wygody, namówiła Marya Kazimiera Jana III, co jej z wielką udało się łatwością, iż wniosek szlachty o trzechletnią obieralność hetmana odrzucił, i dożywotność jego zachował. Szlachta, której już z dawna Marya Kazimiera się niepodobała, zmiarkowawszy tę intrygę jej nową, zapaliła się przeciw niej gniewem, i stłumiła go tylko w sobie przez wzgląd na cześć i uszanowanie, jakie miała dla króla.

(C. d. n.)

KONKURY WIECZNIE TRWAJĄCE,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

V.

Giełda się wznosi (la hausse).

Uśmiechnęli się obadwaj usłyszawszy akcentem polskim powiedziane słowa po francusku, a p. Wojciech rozpoczął rozmowę od zwykłej formułki grzeczności. Pomimo, że od niej zaczął, i z początku tylko podziwienie wzbudził, to przecie ciepłem swoich wesołych zagadnień, opowiadań i wykrzykników rozruszał powoli całą familię do tego stopnia, że nawet pani Michałowa kilka razy dwuwierszowym frazesem odbąknęła. Pan Wojciech zaś mówił naprzód z potrzeby, bo takie już było jego usposobienie, a powtóre z wewnętrznego jakiegoś pociągu, który mu usta wymownie otwierał, pociągu sprawionego wielkiemi oczami siedzącej naprzeciw niego Wandzi. Spojrzenia podobne różny na różnych ludzi wpływ wywierają, jedni milkną wtedy, jak strumyk zagrodzony zewsząd ścianami skał, drudzy mówią ale grobowo i ponuro, a trzeci znowu tak, jak pan Wojciech, wylewają się na zewnątrz potokiem ognistej, dowcipnej i charakterystycznej wymowy. Jak potężne jedno spojrzenie kobiety! nadarmoby w podobnym razie który mężczyzna wytężał oczy! — w tym też to magnetyźmie oczu upatrujemy nowy dowód wyższości płci nazwanej słabą. Ale do rzeczy! równocześnie, gdy pan Wojciech pomagając sobie żywą gestykulacyą, zabawiał na wszystkie strony, zabawiał pana Michała i panią Michałową, równocześnie dziwna w Wandzi zaszła zmiana. Siedząc albowiem wprost naprzeciw Alfreda, z początku obojętnie, potem uważniej wpatrzywszy się w twarz jego, uczuła nagle jakiś dotąd jej nieznany niepokój, który szczególniej tem uwidoczniała, iż niewiedziała, w którą stronę zwrócić oczy swoje, aby się z innemi nie spotkały. Chcąc zasłonić ten niepokój, dobyła czemprędzej z torebki jakąś książkę, i pilnie w niej czytać zaczęła; ale widać myśl błąkała się indziej, a tylko oczy w pismo machinalnie patrzały, bo prawie niewiedziała, że wypadła jej z rąk książka. Poczuł jakby iskrę elektryczną pan Alfred, gdy ją podniósł; oddając zaś, zagłębił oko swoje siwe w czarnem oku dziewicy, i stało się, co się zwykle dzieje w podobnych razach, to jest że najprzód nieśmiało jedna lub druga strona, potem śmielej którakolwiek z nich mówić poczyna najprzód o zwykłych, potem o mniej zwykłych, a wreszcie o wcale niezwykłych przedmiotach. I już w tym dyskursie tak się oboje zatopili, że niesłyszeli ani świstu lokomotywy, ani ruchu jaki zwykle panuje na wielkich stacyach, ani nawet napomnienia pani Michałowej, że wysiąść trzeba. A stanęli rzeczywiście u celu dotychczasowej podróży, w W......n, na które miejsce Wojciech i Alfred *tacito consensu*, jak Rzymianin mówi, przystali. Kiedy drzwiczki otworzono, zgrabnie wyskoczył pan Wojciech, podając rękę wysiadającej pani Michałowej, a ze drżeniem pomimowolnem, czekając rączki Wandzi; lecz—byłby długo czekał jeszcze, gdyby zniecierpliwiony nie zajrzał do wagonu, w którym już nikogo nie było. Biedny! — niespodziewał się, że z drugiej strony Alfred już dawno sprowadził swoją sąsiadkę. Zmarszczył się pan Wojciech, a jego różowe policzki trochę czegoś zbladły; ale, nie rozważając dalej, pobiegł naprzód. Pomógł jeszcze państwu Michałom kufry i tłumaki odebrać, (czem się Alfred, rozmawiający ciągle z Wandzią, bynajmniej nie trudził),— ucałował rękę pani Michałowej prosząc o pozwolenie towarzyszenia sobie tu w obcem miejscu, ukłonił się głęboko pannie Wandzie, a nareszcie zniecierpliwiony zapytał dosyć dobitnie Alfreda: czy razem pójdą? Alfred wtedy dopiero postrzegł się, że za długo zajmuje uwagę panienki młodej, którą dopiero co poznał, pożegnał się więc również grzecznie, niepytając się jednak kiedy się powtórnie obaczą? Złączywszy się z Wojciechem, rzekł tylko tych słów kilka, jakby wychodząc z swego zwykłego zadumania:

— To młodziutka, ale bogata dusza.

Na co p. Wojciech rozjaśniając lice, z zapałem zawołał:

— Więc się nie omyliłem! Bogu, Bogu dzięki, może i moje szczęście!

— Jakie? — zapytał Alfred zdziwiony.

— To już do mnie należy — odrzekł trochę z przekąsem p. Wojciech; lecz nagle znów oddając się swojej naturze, porwał Alfreda za rękę, a ściskając ją serdecznie, mówił: bo to widzisz drogi przyjacielu, ja inaczej nigdy nie potrafię: od razu tylko albo kochać, albo

nienawidzieć, więc kiedym się raz tylko z uwagą popatrzał w oczy tej pannie, to taki mnie dreszcz serdeczny przeszedł, żem nawet po trosze i struchlał; bo broń Boże odkosza, tobym to bardzo uczuł!... lecz, gdy mi ją dadzą, niebędzie szczęśliwszego nademnie.

— Winszuję, winszuję Wojciechu, ot widzisz, że choć z daleka od kraju, a zakochałeś się!

— Ale w Polce mości Alfredzie, w szczerej Polce.

— Tylko się nie unoś zawczasu Wojciechu, bo przecie jeszcze panny nie znasz dokładnie.

— A prawda, nieznam, ty znasz ją już więcej — dodał bystro patrząc się towarzyszowi w oczy.

— Zdaje mi się, żem powiedział już: niewyrobiona, ale bogata dusza, dla tego powtórnie winszuję szczęścia.

— Kiedy tak, to znów dzięki ci przyjacielu, bobym z tobą ścierać się nie chciał. I uścisnęli się przyjaciele; jeden zapadłszy znów w swoją martwotę, a drugi w błogie marzenia; oba niewiedząc kiedy zaszli do hotelu, kazali dać sobie pokoje obok siebie.

Nazajutrz rano z godziną jedynastą już sale gry otwarto. W czterech obszernych salach przez całą długość stały cztery ogromne stoły, a na nich ruleta, karty, i stosy rulonów złota i srebra. W około stołów grupy — ale jakie! wszystkie pozornie noszące cechę niewymuszonej elegancyi, chłodnego spokoju, lecz popatrz uważniej, a dostrzeżesz na różanych usteczkach pięknej grającej damy kropelkę krwi, która jej wytrysła z wewnątrz tajonego wzburzenia; popatrz w oko pięknemu młodzianowi, a ujrzysz jak się ono zapala krwawą łuną; popatrz starcowi w twarz, a zobaczysz ją raz bledniącą, drugi raz płomienną nakształt rozpalonego żelaza. Lecz cisza panuje w około, cisza uroczystsza niż w kościele, bo tam rozmawia się z Bogiem, którego się nie widzi, tutaj zaś jest wstydem wzruszenie okazać zewnętrznie, trzeba przegrywać z konwenansem, i w łeb potem wypalić sobie z konwenansem.

Przy jednym to ze stołów w środkowej sali siedzi pan Michał, obok niego pani Michałowa, za stołkiem jej Wandzia, a przy tymże stoi p. Wojciech. Pan Michał gra już z godzinę, widać to po rozczerwienionych policzkach, po których również poznać, że mu fortuna nie dopisuje. Stawia rulony za rulonami i chybia, i mruczy tą razą czysto polskim akcentem: bodaj was d... wzięli, a do kroćset..., każdą razą gdy chybi, obraca się do pani Michałowej, pytając: cóż ty na to? — to znów do córki mówiąc: patrz Wandziu, — to znów do pana Wojciecha: Widzisz pan, malera! malera! — Pani Michałowa nic nie odpowiada, bo sama dość pilnie podwaja stawki, ale pani Michałowa wygrywa, zagarniając zaś grabkami złoto do siebie, oddziela się zarazem, jakby murem chińskim od małżonka, nie chcąc mu, gdy już wszystko przegrał, ani talarka pożyczyć. Gorąco się zrobiło obywatelowi pięciu wsi i okrągłych kapitałów, powstał, przeszedł się po sali, żałośnie przypatrując się grającym, aż wreszcie, jakby pod wpływem nagłego postanowienia przystąpił do p. Wojciecha, prosząc go na słówko rozmowy. Wziąwszy go na bok, tak, chrząknąwszy, rzecze:

— Hm... tego... widzisz pan, wprawdzie niedługo pana te... ale jakto za granicą bywa, więc przegrawszy...

P. Wojciech już dobył pugilaresu.

— Bo to ma się.... niby tego.... ale to podobno szczęście pożyczyć, pożyczywszy od te...

Szczęśliwy p. Wojciech, że mógł usłużyć ojcu Wandzi, którą coraz bardziej ubóstwiać począł, chciał tylko wrażenie pożyczenia zatrzeć, w czem mu wybornie pomógł pan Michał, odchodząc rozpromieniony czemprędzej do stołu. Tak jest, p. Wojciech począł ubóstwiać Wandzię, ubóstwiać, bo mając wulkan uczucia dla niej w swych piersiach, obchodził go zdala, nie dając go jej nawet słówkami poznać, mówił z nią o wszystkiem, już nawet o swej tułaczce, o swem więzieniu i rozpaczy, nie dla popisu... ale że mu się zdawało widzieć w niej najgodniejszą i najwięcej mogącą zrozumieć jego dolę. Wandzia słuchała tego wszystkiego z prawdziwem zajęciem, znów usłyszała o nowych nieszczęściach, o nowych bolach i troskach, które choć ją niedotykały osobiście, obchodziły ją mocno; zaczynała pojmować, ile to dzień każdy wodzi ze sobą rozpaczy ludzkich, ile zmian i wzburzeń nieopłakanych, i — że na wiele z nich nie ma innego ratunku, prócz modlitwy i rezygnacyi. Z wdzięcznością znów wspomniała o pani Sternickiej i Antosi, jako istotach, którym winna była nowo rozwijające się życie w swych piersiach. Jednak pomimo, że słuchała go z zajęciem, pomimo że przychylność braterską ku niemu powzięła, toć przecie mówiąc nawet z nim, porównywała go, sama niewiedząc dla czego, z Alfredem, a porównanie to szło zawsze na korzyść ostatniego. On, myślała, który ma tak spotęgowane uczucie, on byłby tego cierpienia nie przeżył, to życie jego dzisiejsze byłoby tylko jedną wielką cichą łzą, gdy tymczasem ten cierpiał tyle, a dziś zimno już, jak historyk, opowiada. Usłyszawszy tak nieumyślnie jedno wyznanie męża z energią, ileżby była dała za to, aby słyszeć drugie Alfreda, nie wiele z nim bowiem wczoraj mówiąc, tyle jednak poznała tęsknej goryczy, tyle zdawało się jej widzieć cmentarnych wspomnień, iżby połowę istnienia dała za sprawienie mu jakiej ulgi, za położenie balsamu na zbolałe jego serce. Lecz Alfreda odtąd nie widziała nigdzie, chciałaby się koniecznie o nim dowiedzieć, ale jak?

Alfred tymczasem, jak to często bywało w jego zwyczaju, przyjechawszy, zamknął się w swoim pokoju, położył się na jakiej otomanie, i dumał, a zawsze smutno i tęskno. To dumanie było pewnego rodzaju otrętwieniem moralnem, z którego go wydobyć mogła tylko jaka nagła myśl lub zachcenie, lecz zdarzało się często, że stan ten trwał dni kilka. Powiadamy otrętwienie, bo nigdy nie byłby sobie w stanie zdać z myśli swoich rachunku, przychodziły one jemu w bezładnym chaosie, w skrzyżowaniu się z ojczystemi wypadkami lub obecnemi przeczuciami, wszystkie jednak wysuwały się z za jednej zasłony, zasłony nieszczęścia, którego ciężar przygniatał go tak do ziemi! Niech nikt nie mówi, że doznane nieszczęście zapomni się kiedy, nie! ono zawsze w pośród najweselszych chwil i najpomyślniejszego bytu zostaje, choćby jako gorzkie wspomnienie, lub tylko jako westchnienie.

Takich gorzkich wspomnień, czyż niemiał Alfred dosyć? — zerwana przyjaźń i podeptana uczucie miłości, dwa uczucia, które przykuwają człowieka do ziemi i trzymają przy niej; a trzecie najstraszniejsze: życie bez nadziei, życie w ciągłem czarnem zwątpieniu. Mocować się z Centaury, rozbijać głową skałę, gdy cień jeszcze nadziei błyska, to szczęście; ale nie módz walczyć dla tego, że się wątpi o skutku walki, to rozpacz, której oprócz od Boga zesłanej śmierci nic rozwiązać nie jest w stanie. W takim stanie był Alfred, a iluż takich Alfredów pośród nas! — W kilka dni dopiero wyszedł, zapragnąwszy świeżego powietrza, na główne aleje spacerowe. Pierwszemi osobami, które spotkał, byli pp. Michałowie, p. Wojciech nieodstępnie im towarzyszący, i trzech jeszcze jegomościów, z których każdy różni się jeden od drugiego usposobieniem i postawą.

Ten co szedł obok pani Michałowej, był Anglik, naturalnie lord! — na kontynencie mógłżeby który z nich nie być lordem? Więc miał najprzód charakterystyczne blond faworyty, a zresztą twarz starannie i gładko

ogoloną, wyraz zaś właśnie tem odznaczający się, że był żaden; wzrostu był średniego, dość dobrej tuszy. Krój sukien, zgrabny i elegancki, nie tyle uderzał, ile złoty gruby łańcuch wiszący u kieszonki paltota, i massa breloków. Mówił po francusku tak paryskim i czystym akcentem, że nie znać było mgły z nad Tamizy, mówił zaś dużo i głośno wbrew zwyczajowi swego narodu. Majątek, jak fama i stawki przy rulecie świadczyły, miał ogromny.

Drugi był to baron pruski herr v. Schleppstein. Wysoki i chudy, odznaczał się szczególnie bocianią szyją i krótkim wzrokiem, który pomimo, iż używał kukierów i springerów, wprowadzał go często w przeróżne kolizye. Tak np. miał już dwa pojedynki, raz o to, że biorąc jakiegoś obcego jegomości za swego przyjaciela, bo mu był podobny wzrostem, poklepał go ponfale po ramieniu, mówiąc: *Du bist doch ein Tölpel!* a drugi, że pocałował obcą zupełnie damę w twarz, myśląc, że to jego siostra. Miał, jak opowiadał, wielkie dobra, i był szambelanem dworu, co rozgłaszał prezentując się każdemu: *baron v. Schleppstein, koeniglicher-Kammerherr.* Lat mógł mieć 50, ale wyświeżał się zawsze z pretensyą 20letniego człowieka. Słowem, zawsze i wszędzie z lubością rozprawiał o swojem szambelaństwie, swoich dobrach, swojej elegancyi, nawet o swojej przystojności, czem jednakże dotychczas żadnej kobiety zafrapować tyle nie zdołał, iżby ta, w zamian za wszystkie jego przymioty, ofiarować mu chciała tylko rękę. Ta niefortunność sprawiła także, że postanowił się *par force* ożenić, choćby bez majątku, bez baroństwa, byle kobietą.... mogącą jaśnieć urodą, z manierami. Dla tego każdorocznie jeździł do innych miejsc kąpielnych, wyszukując takiej bogdanki, a tego roku zaczaił się na nią w W. ....n. Codzień rano robił przeglądy przybywających gości, to też, gdy państwo Michałowie z Wandą przyjechali, pan baron podskoczył o ile był zdolen w górę z radości, krzycząc w upojeniu: *Ah! ma foi — eine Pohlin, das wird verflucht amusant!* I natychmiast zaprezentował się szumnie ze wszystkiemi tytułami, i natychmiast począł się oświadczać Wandzi, ani tego nie przypuszczającej.

Tak więc Anglik, Prusak, Wojciech i Alfred, a mianowicie trzej pierwsi byli nieodstępnemi satelitami familii pana Michała, radośnie teraz ożywionego, i z tryumfem patrzącego na ten rydwan konkurentów.

— A co, żonusiu, nie mówiłemć? cóżbyśmy w kraju z Wandzią robili? Martwiliśmy się, że pan Lucyan nie przyjedzie, a tu lordy i barony i hrabiowie trzepoczą skrzydełkami około naszej te...

— Lecz tylko trzepoczą — zimno odrzekła pani Michałowa, a możeśmy tylko nadarmo porzucili krajowych konkurentów, nadarmo ją tu otaczając nowymi, ej, czyby konkury o naszą Wandzię wiecznie trwać miały!

P. Michał osowiał, lecz wkrótce, jakby sam dziwiąc się sobie, z zapałem zawołał:

— Te .. co to gadasz żonusiu... taż oni wszyscy by radzi, tylko o to chodzi, któregoby wybrać... bo najpierw ten p. Alfred, podobno i hrabia i milioner, ale strasznie dumny, co? potem lord, no ten by kapitalny był, zaprowadziłby w kraju u nas przecie jakie ulepszenia, i nauczyłby żyć naszych półucywilizowanych niedźwiedzi, ale cóż kiedy ma majątek za morzem, no Prusak ten trochę stary.. i te... ale hof-szambelan... co żonusiu?

— Najlepszymby Alfred był, bo i imie piękne, i fortuna oczywista, a tamtym to trochę nie wierzę.

— Ależ fe, co ty gadasz żonusiu, to nie u nas, tu się nie chwalą ludzie, tu każdy jest tego.... ale, ale, a pan Wojciech?

— Gorączka, za lada okazyą opuściłby żonę i majątek, i poszedłby porwać się, Bóg wie na co, to nie dla naszej Wandzi...

— Hm... szkoda te... bo to taki grzeczny... ale jak tam chcesz żonusiu.... a teraz przyznaj sama, co to jest być za granicą, żyjesz niezależnie, nikt cię nie krytykuje, z swoich myśli zdawać rachunku nie potrzebujesz, a przytem sposoby rozerwania się te... jakich w kraju nadarmo szukać.... a co? żonusiu, miałem słusznie, czy nie?

— Jeszcze nie koniec — odparła przezornie pani Michałowa.

— A powiem ci żonusiu, że to nie koniec... bo jak tu się znudzimy, i Wanda nie tego.... to pojedziemy dalej, i jeszcze dalej, do Paryża, tam już szczyt ludzi... a co? I przyskoczył rozczulony do żony, wycisnąwszy dwa gorące pocałunki na jej czole.

W ten sposób schodziło życie naszym rodakom w obczyznie; pp. Michałowie wiecznie przy stole gry, Wandzia siedząca za nimi, otoczona rojem admirujących, którymiby się serdecznie nudziła, gdyby nie Alfred i Wojciech. O tak! ku pierwszemu rozgorzaa wielką miłością, miłością objawiającą się nieograniczoną tęsknotą, gdy go chwilę nie widziała; rozpaczą, gdy jej pewnego dnia stanowczo powiedział, że nazajutrz odjeżdża. Alfred uczynił to umyślnie, bo sam widząc jej miłość ku sobie, a niemogąc być wzajemnym, znając wreszcie gorące i wielkie przywiązanie Wojciecha do Wandzi, postanowił żelazną wolą zatamować drogę mogącemu wyniknąć nieszczęściu. Po długiej więc gawędzie, w której czarnemi farbami skreślił jej swój burzliwy żywot, swoję beznadziejość, i ochotę zamknięcia się jeszcze więcej w sobie a unikania ludzi, rzucił zarazem kilka żelazną energią tchnących zdań, mieszczących w sobie napomnienie hamowania uczuć, gdy te do celu nie prowadzą, zgadzania się na każdym kroku z wolą Boga, i przyjmowania wypadkowych wrażeń nie chciwie, ale z uwagą i więcej obojętnie. Nareszcie widząc łzy w jej oczach, rzekł stanowczo:

— Panno Wando, Bóg ci zapłać za to uczucie dla mnie, alem ja nie dla ciebie, zatrułbym tobie żywot i sobie. Dobrze się stało, żem przemknął przed oczami twej duszy, jako żyjąca nauka, oddzielania się na przyszłość siłą rozwagi i hartu od wszystkiego, co nie nosi na sobie cechy prawdziwej moralnej wartości; powiem nawet, iż dobrze się stało, żem przeleciał jako świetny może meteor, uczący właśnie rzadkości i niestałości swojej planetarnej, a przymuszający patrzeć z uszanowaniem na gwiazdy, stale błyszczące na niebie.

Rzekłszy to, mocno uścisnął rękę prawie omdlałej— i szybko się oddalił, a odtąd już go więcej Wandzia nie widziała. Opisywać tej rozpaczy opuszczonej kochanki, która do tego jest młodziutką, niewinną dziewicą, nadaremnie się silił, młodzi ją zrozumieją!

Wanda w głębokim swym smutku napisała boleścią tchnący list do Antosi, błagając o słówko pociechy, bo od rodziców własnych spodziewać się jej nie mogła, a potem, chcąc trochę ukoić tęsknotę, rozmawiała o Alfredzie długo i często z Wojciechem, jako jego przyjacielem, nic się nie domyślając ile mąk mu sprawia tem, jemu, który o wszystkiem wiedząc, cierpiał szalenie, nieśmiąc teraz już i słowa wspomnieć o swojej miłości. *(C. d. n.)*

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**